

Bezsensowna teza

Słońce w to sierpniowe popołudnie dawało się we znaki mieszkańcom Szafarni, lecz mimo to nie zaprzestawali oni przygotowań do dożynek. Pleciono wieńce, gotowano, panowała ogólna wesołość i rozgardiasz. Miejsce zamieszkania Dziewanowskich tętniło życiem, zajęcia nie mógł znaleźć sobie jedynie młody Chopin.

– Mhm. - wychrząkał do Ludwiki – Może udałbym się pozbierać żołądzie do lasu? Przydadzą się do tego paskudz.... znaczy kawy żołądziowej. - zaproponował spokojnie, ale czuć było, że to co powiedział było zabiegiem celowym, a nie przypadkiem. Naprawdę nienawidził smaku kawy żołądziowej.

– Masz na to ochotę?- zdziwienie w głosie panny Dziewanowskiej było wyraźne – Zazwyczaj zajmowała się tym Marta – odpowiedziała, po czym zaczerpnęła oddech, ale Fryderyk jej przerwał.

– Tak, tak. Wiem że to jej obowiązek, ale ona ma zajęcie. – kiwnął głową w kierunku krępej blondynki, która energicznie zamiatała – Ja za to kręcę się jak błędna owca. – westchnął tak teatralnie, iż dziewczyna spodziewała się, że za moment on się ukloni, a ona będzie musiała klaskać.

– Dobra, niech Ci będzie. Ale nie kręc się nigdzie, idź do lasu i wracaj! - w jej głosie było czuć to nienawiść do jakichkolwiek form sprzeciwu.

Fryderyk ucieszony jej zgodą wyleciał z pomieszczeń jak poparzony, zapominając nawet o podziękowaniu swojej wybawicielce. Ta spojrzała za nim z dezaprobatą, ale nic nie powiedziała. Nie widziała sensu.

Słońce zniknęło za horyzontem, gdy Ludwika przechadzała się po Szafarni. Kochała zachody słońca, a reszta świata mogła wtedy dla niej nie istnieć. Jej dumania przerwał jeden z chłopów.

– Panno Dziewanowska! Panno Dziewanowska! Tego młodego nigdzie nie ma! Diabli go chyba wzięli!- mówił z pełnym przejęcia wyrazem twarzy.

– Jak to nie ma!?! Miał przecież zaraz wracać! - była wściekła, i to nie tylko z powodu przerwania spaceru – Wszędzie sprawdziliście? W lesie? W całej wsi? A może zapodział się gdzieś w domu? – wypytywała wyraźnie zdenerwowana.

– Wszędzie miłościwa pani, wszędzie! – wykrzyczał wręcz chłop – A tego jak nie ma, tak nie ma!

– Rozumiem. Mimo to nalegam, byście spróbowali raz jeszcze. – odpowiedziała, ciężko wzdychając – Trzeba próbować do skutku, państwo Chopinowie by mi nie wybaczyli... – z każdym słowem coraz to bardziej cichła.

Nerwowe poszukiwania Fryderyka wyczerpały wszystkich. Każdy najmniejszy kąt Szafarni został przeszukany, wysłano ludzi do sąsiednich wsi, ale to było na nic. Przepadł jak kamień

w wodę, lub – jak mówił Stach – diabli go wzięli. Najbardziej zmartwiona była właśnie Ludwika, która obiecała przecież Chopinom dbać o ich syna, o jego zdrowie, a na razie nie ma o co dbać, bo ten poszedł za żołędziami.

– A gdyby tak zapłacić księżuli za mszę w intencji odnalezienia Fryderyka? - zaproponował Dominik, czemu przyklasnęli wszyscy w domu Dziewanowskich. Do kościoła ruszyli państwo, ale także chłopci na czele ze Stachem, który dowodził poszukiwaniom.

Rozmowa z plebanem była krótka. Mężczyzna szybko przybrał mszalny ubiór i ruszył w kierunku kościoła ze sporych rozmiarów kluczem. Otwierając drzwi, zdębniał, tak jak i wszyscy zebrani. W budynku panowała ciemność, ale grały organy. Teza Stacha była już wtedy bezsensowna, ponieważ w kościele diabli Chopina wziąć nie mogli.

Opowieść Fryderyka o tym, co działo się, gdy wszyscy go szukali, nie wprawiła nikogo w osłupienie, mimo wrodzonej chłopaczynej umiejętności do dramatyzowania.

Udałem się po żołędzie do lasku, na czego dowód pokazuję je wam! Zajęło mi to wyjątkowo mało czasu, śmiem podejrzewać, iż panna Marta prócz zbierania żołędzi musi romansować z jakimś z chłopców, ale to tylko moje podejrzenia, a właściwie to nie powinienem się mieszać. No i wędrowałem tak dalej i dalej, niczym wędrowiec na pustyni! Aż tu nagle, ujrzałem piękną jabłonkę, w okolicach jakże to uroczonego kościółka. Zerwałem jeden z owoców, gdy, jakby z podziemi wyskoczyła jakaś kobieta. Jak się później dowiedziałem była lokalną bigotką.

– A ten co robi! - krzyknęła – Zrywa księdzowskie jabłka!?! A wie ten, że dopuszcza się świętokradztwa!?! - plotła bzdury jak najęta, po czym złapała mnie za kołnierz i próbowała zawlec do kościoła.

– Ale ja jestem Chopin, spod samej Warszawy! Mieszkam u Dziewanowskich, nie może mnie Pani tak zamknąć! - lecz moje biadolenie było zbyteczne. Gadał chłop do obrazu, obraz do niego ni razu...

– A ja Hania spod samiuńskiego Poznania! Ty mi chłopcze oczu nie mydl!

I tak ta lekko zdewociała kobieta zawlokła mnie do kościoła, do którego jakimś trafem miała klucze (tu również podejrzewam jakieś relacje z klechą, ale mówię – nie moja sprawa), po czym kościół zamknęła! Moje krzyki, moje wołania były na nic! Achhh, jak strasznie tam było, tak siedzieć samemu! Po godzinie, może dwóch, zauważyłem organy. To była ulga! Zająłem się nimi, a dalszy obrót spraw już znacie.

Tak właśnie miał wyglądać *Kurier Szafarski* z 19 i 24 sierpnia, lecz Ludwika Dziewanowska była bezlitosna dla Fryderka, za to pełna litości dla, już i tak umartwionych słabym zdrowiem syna,

państwa Chopinów. Dlatego jedynym wspomnieniem z tych dni był cytat: „Chopin wypił siedem filiżanek kawy żołądziej. Spodziewać się trzeba, iż niedługo osiem wypije.”

Zofia Lebowska